

— A ja czy nie pracuję? — powiedziała z zalem.

— Ty? — obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem — co tobie za bieda? Wystroisz się i do biura, wielka mi robota — zaśmiała się drwiąco — ale stań ty przy kuchni, przy balii, susz sobie głowę jak nastarczyć wszystkiemu... to robota.

— Oddaję przecież wszystko.

— Co mi będziesz oczy wykłuwala, że oddajesz — obruszyła się — czy ty prosiłaś, chodziłaś, kłaniałaś się o to miejsce? I jeszcze mi wypomina!

— Ależ, nie wypominam mamie... — mówiła ciszej — bo posłyszysz — wskazywała oczyma na dalsze drzwi.

— Cóż to znowu? Czy nie jestem u siebie? — podniosła głos — nanki będzie mi dawała! Patrzcie ją!... Idź jeść... Coś zanadto zależy ci na nim, ale ja na to nie pozwolę — zamruczała trochę ciszej.

Nie mówiąc poszła Janina do kuchni i usiadła na tapczanie, na którym sypiał jej brat, postawiła na stole garnuszek z postrną kartoflanką. Zjadła trochę, ale zupa mdła, zimna nie smakowała jej. W małym rądelku były kluski, zeschnięte, ledwie letnie, spróbowała i odstawiła mimo głodu. Posprzątała, wzięła z półki chleb i ukroiwszy większy kawałek jadła ze smakiem.

— Janinko! a nie mówiono co w biurze o awansie?...

— Opowiadano, że jedzie inspektor Lerche na linię — zbliżyła się do matki.

— O, to człowiek nienzuty... znam go z czasów nieboszczyka...

— Czy może mogę pomóc mamie?

— Z ciebie Janko dobre dziecko — rozczuliła się — i gdybyś ty matki słuchała we wszystkim, byłoby inaczej dzisiaj — westchnęła — weź spódniczkę Mani, poceruj... tylko starannie.

Zasiadły obie do roboty, a po chwili odezwała się matka:

— Już dwa lata siedzisz na tych sześćdziesięciu koronach, jak teraz nie podwyższą ci pensji, chyba nie ma sprawiedliwości na świecie. A ty jak myślisz?

— Nie wiem mamie... ten Rammer jest zły i niesprawiedliwy.

— Umyślnie dali cię do jego biura, znają go... ale już ja pójdę do niego.

W umyśle Janiny stanął obraz wchodzącej do biura matki, w szeleszczących spódnicach, z twarzą surową... Widziała drwiące uśmiechy Borskiego i Wilmańskiego, słyszała gniewny i opryskliwy głos naczelnika Rammera, który nietylko odprawił matkę z drwinami, ale i na niej wyrze swój gniew.

— Moja mamie — prosiła — niech już do Rammera mama nie chodzi. Od niego nic nie zależy, a on taki przykry człowiek... jeszcze powie mamie coś nieprzyjemnego.

— A ja czy nie mam języka?...

Niech sobie gada, byle ci dał podwyżkę, bo już nie poradzę. Tylko oblicz... mamy osmdziesiąt cztery korony... z tego ty bierziesz sześć, za mieszkanie dwadzieścia dwie, jeśli zapłać lokatorzy — wskazała na przyległy pokój — zostaje na wyżywienie i ubranie pięciu osób pięćdziesiąt sześć koron... i z czego tu żyć? Poprostu ręce opadają, a zwłaszcza na wiosnę — oczy jej zasły łzami.

— Eh, mamie — uśmiechnęła się — to samo mówi mama każdej wiosny i każdej jesieni i jakoś dajemy sobie radę.

— Tak ciężko nigdy nie było — wzdychała.

— I to mama zawsze mówi.

— Głupia jesteś — powiedziała zniecierpliwiona — może i mówiłam, ale zawsze liczyłam na stryjka.

— A gdyby do niego się udać?

— Do niego?... Nie, nie można mu się naprzykrzać, bo gotów nas wydziedziczyć, a ma dom, ogród, pole, gospodarstwo.

— Możeby pojechać do niego?

— I za jakie pieniądze? — oburzyła się — a jeśli nic nie da? tylko daremny wydatek... Gdybyś miała rozum, byłoby dziś inaczej — westchnęła i z wyrzutem spojrzała na córkę.

— Lepiej nie mówmy o tem — powiedziała podrażnionym głosem — stary, brzydki... nie chcę go...

— A ty wolałabyś tego młodego, co groszem nie pachnie, a zawraca ci głowę głupstwami — mówiła z przekasem.

— Ani jednego, ani drugiego — zawołała zarumieniona — sama pracuję i to mi wystarcza.

— Wystarczy! — i tłusta jej twarz wyrażała żal i pretensję — przecież widzisz jak pracuję, zameczam się, tchu mi nie staje, a ty myślisz tylko o sobie... Któż cię wychował, uczył, dał edukację? Kto postarał się o twoją posadę? I teraz słyszysz wymówki, że pomagasz biednej matce... — i rozżalona zaczęła płakać.

W umyśle matki odtworzyły się wspomnienia i obrazy małej, nieporadnej Janinki, trudy i kłopoty z jej odchowaniem i ogarnął ją bezwiedny żal matki żyjącej z pracy dziecka. Zdawało się jej, że każda wzmianka o pieniądzach, o udzielanej pomocy jest zarazem wymówką. I stąd jej rozdrażnienie, nieuzasadnione żale i pretensje, u-



— Eh, ciężki to kawałek chleba, bawrać i słuchać byle kogo!...

ważała bowiem Janinę zawsze jako nieletnie, nieporadne dziecko, które we wszystkim powinno iść za jej radą i wskazówkami. Córka rozgoryczona tonem matki, patrzyła chmurna na płaczącą i nie umiała znaleźć słów kojących.

W tem zapukano ostro do drzwi kuchennych i nie czekając odpowiedzi, wszedł sapiąc głośno, niski, dość otyły mężczyzna i zdejmując zrudziały kapelusz zawołał:

— Moje uszanowanie pani Karolowej — wszedłszy do pokoju — a i panna Janina przy pracy, jak Bóg przykazał... zawsze śliczności, jak kwiatek — oddychał głęboko oglądając się za krzesłem.

Matka szybko otarła łzy, mimo swej tuszy zerwała się z krzesła i rozjaśniając twarz miłym uśmiechem, witała przybyłego serdecznie:

— A pan Łuka! Jakże nam przyjemnie... proszę, siadaj pan — przysunęła mu krzesło.

— Dziękuję... dziękuję — sadowił się na krzesło i wyjmując wielką, kraciastą chustkę, ocierał spoconą, łysawą głowę. Gorąco dzisiaj, no i drapałem się na trzecie piętrowo.

— Zawsze to pięknie ze strony pana Łuki, że nie zapomina o nas — mówiła ze słodkim uśmiechem — jakże zdrowie?

— Dziękuję, trzyma się człowiek... Przechodząc, zaszedłem do was na chwilę — spojrzał na Janinę małemi, sprytnymi oczyma.

— To zaszczyt dla nas — pochyliła głowę matka — przy tylu interesach, sprawach...

— Ano, w sklepie zostawiłem Rózię, a sam wracam od rejenta — mówił z odcieniem dumy.

— Od rejenta?! — udała zdziwienie — a cóż pan Łuka tam robił?

— Kupiłem chałupę na Mylnej... — rzekł czekając wrażenia.

— Chałupę? — zaśmiała się — pewno kamienicę.

— No tak... sześć okien frontowych... dziesięciu lokatorów... i wozownię i ogród.

— To i chwała Bogu — cieszyła się ze złe ukrywaną zazdrością.

— A cóż panna Janina na to? — zwrócił się do dziewczyny milczącej, zajętej szyciem.

— Tem lepiej dla pana i dzieci — odpowiedziała nie podnosząc oczu.

— Pewno pan się tam przeniesie, bo co własne, to własne — dodała matka.

Odetchnął głęboko, zapalił cygaro, rozsiadł się lepiej i mówił:

— Ja kupiec i porządek u mnie to grunt, otóż kamienicę kupiłem dla siebie nie dla dzieci, one dostaną sklep. Rózia idzie zamaż, to się ona nie liczy — znów umilkł i czekał.

— Rózia! — zawołała Karolowa — kiedy? za kogo?

— Trafił się jej kupiec z Ropczyc, dawny mój uczeń, wdowiec z dwojgiem dzieci, ale porządny człowiek... i w czerwcu ślub.

— Jakież pan szczęśliwy, że zabezpieczył los córki — westchnęła rzuciwszy okiem na Janinę.

— Ee, niema pani czego się martwić — uśmiechnął się i grubą, spracowaną ręką otarł zaślinione od cygara usta i krótko przycięte wąsy — byle panna Janina zechciała a mąż się znajdzie.

W tonie czuć było pewność siebie, bo gdy przez znajomą badał Traweckich, odpowiedziała mu matka w imieniu Janiny, że trudno wydać córkę za człowieka posiadającego w domu starszą dziewczynę od przyszej żony.

— Ja się też nie martwię — rzekła pospiesznie — ma chleb w ręku, pozycę... i będzie co Bóg da.

— Eh, ciężki to kawałek chleba, bawrać i słuchać byle kogo... ot, być panią, gospodynią, mieć własną kamienicę, to rozumiem. Czy nie tak panno Janino?

— Jak dla kogo... mnie wystarczy moja pensja.

— Hm... dziś jest, a jutro nie ma... a co pewne, umocowane, to znów co innego.

— Święta prawda — wzięła się matka — ale i Janinka, jeśli Bóg pozwoli jej doczekać, będzie miała dom i gospodarstwo.

— Na razie zrozumiał, że znalazł się bogaty konkurent, nachmurzony więc starał się wybać:

— Jakimże sposobem? — spytał.

— Brat mego nieboszczyka, a rodzony stryj i opiekun Janinki, to bogacz — odpowiedziała zadowolona.

— Coś słyszałem... to ten pod Bochnią?... Żonaty?... Kawaler?...

— Wdowiec.

— Ee, to się jeszcze ożeni — uśmiechnął się.

— Kiedy bo nie, przysięgał nieboszczce i piąty rok jest we wdowieństwie.

— Ano... tem lepiej. Otóż wracając do interesu, mój sklep dla dzieci, tak im się należy, bo wspólnie z nieboszczką dorobiliśmy się, a kamienica dla mnie i mojej żony, skoro znajdę po swej myśli — a mówiąc to, spojrzał wymownie na Janinę.

— Co słusznie, to słusznie — skinęła głową — napracował się pan, czas odpocząć.

— Ho, ho, jeszcze czas na odpoczynek — zaśmiał się głośno — siłę mam — podniósł w górę wielką rękę. Sklep będę sam prowadził, a kamienica na stare lata... Cóż u pani słyszać?

(Ciąg dalszy nastąpi)